NUMER 44. DNIA 29. PAŹDZIERNIKA 1905 ROKU. ROK XIII.

TYDZIEŃ

DODATEK

LITERACKO-NAUKOWY „KURJERA LWOWSKIEGO"

POD REDAKCJĄ BOLESŁAWA WYSŁOUCHA.

JÓZEF JEDLICZ.

Nie śpiewajmy o Życiu...

Nie śpiewajmy o Życiu, nie śpiewajmy o Życiu,
Lecz śpiewajmy o Śmierci, tej groźnej i posępnej!
Niech rozkwita jak kwiat w naszych serc ukryciu
Harda, pogodna myśl o tej ciemnej, niedostępnej...

A wtedy pokochacie, a wtedy pokochacie
Ten Żar, co w każdej chwili uciec może z łona.
Któż bardziej odczuł Świt w promiennym
[majestacie,
Jeśli nie ów samotnik, co gdzieś młody kona...

Mogiły mężów.

Wielkie... cieniste nekropolis — miasto umarłych. Sfałdowała się Boża rola na łyczakowskim cmentarzu w tyle zielonych pagórków, załomów, uroczysk, cichych ustroni i słonecznych obszernych płaszczyzn, że tak się zdaje, jakby lwowska przyroda uśmiech swój smutny położyła na tym kawałku ziemi, w którym tonie praca ludzka i ludzkie zawody.

A po tej wypłakanej, kośćmi ludzkiemi przepojonej roli, w tem milczącem mieście krzyżów, kamiennych grobów i zapomnianych mogiłek, zaduma biegnie w święto umarłych. Razem z szelestem liści jesiennych głosy się jakieś dobywają podziemne, na czerwonych szmatach jesiennej trawy cienie się malują dostojne — powłoczyste cienie serc wielkich i wielkich duchów, co tutaj spoczęły.

Dużo tutaj pracy, zamiarów, nadziei niespełnionych legło na łyczakowskim cmentarzu, dużo miłości wchłonęła w siebie ta ziemia - matka. Gdzie spojrzeć tylko mogiły, nazwiska, pamiątki, wspomnienia. Na rodzinnych grobach światła goreją od pozostałych, na wielkich publicznych grobach kolumnowych światła goreją składkowe i wspólny śpiew się unosi z setek piersi żyjących. Ale na grobach tych... co nic, jeno swój obowiązek spełnili, kto świeczkę zapali, a od tej świeczki, kto cząstkę uniesie gorącą, która tam nawet pod darnią grobową jarzyć się chyba musi umiłowaniem tego, na co szły całe zapasy życia?

Na łyczakowskim cmentarzu kładli się kolejno żołnierze napoleońscy, żołnierze listopadowi, żołnierze styczniowi, a obok nich mieszkańcy austrjackich kazamat, gwardja wiosny narodów, szermierze wielkiej pracy odrodzenia, mężowie pióra, słowa, mężowie cichej zasługi.

Kto ich wspomni wszystkich, kto w dzień zaduszny oświetli mogiły mężów, cmentarzyki żołnierzy pamięcią otoczy?

Patrzcie! oto na łyczakowskim cmentarzu legł Bielowski August, uczony wielki i dzielny żołnierz legji nadwiślańskiej, Broniewski Henryk, co wielki rzucił majątek dla oddziału w 5 pułku ułanów listopadowych, a Burzyński Walenty z dywizji generała Giełguda, a Weryha Darowski z pod Stoczka, Kurowa, Boremla, a Dzierzkowski Józef i pisarz i żołnierz Dwernickiego.

A ot dalej Goszczyński Seweryn, Aleksander Kamiński, a ot Kołysko Benedykt, waleczny generał brygady z czasów Napoleona I., i również napoleoński żołnierz Łoś Franciszek, major w bojach listopadowych, pułkownik rewolucji węgierskiej, naczelnik gwardji narodowej we Lwowie.

I jeszcze Nigroni Adolf, kapitan Samuela Różyckiego, Plagowski Ludwik, adjutant Dwernickiego i waleczny pułkownik Roszkowski Antoni z pod Olszynki i Grochowa, Rozwadowski Erazm, co pod Boremlem zarąbał na śmierć generała moskiewskiego Płuhowa i wziął żywcem w niewolę majora dragonów Piotrowskiego.

Śpią wszyscy spokojnie, a obok Śmiechowski Józef, weteran Napoleoński, oficer 1831 r., generał w r. 1863 po Langiewiczu, Szeptycki Wincenty, ten sam, co w pułku gwardji Napoleona I. od r. 1807 do 1813 bił się w Hiszpanji, w Austrji, Niemczech, Rosji i Saksonji, ze stopniem pułkownika poszedł pod Stoczek, a po Boremlu został generałem i trwał w walce aż do upadku Warszawy. Ten to sam Szeptycki, któremu lwowska policja zdarła mundur generalski na katafalku i trupa sama pod zasłoną całego garnizonu austrjackiego wyeskortowała na cmentarz łyczakowski. Tak im był niebezpieczny nawet... po śmierci.

Kto wspomni wreszcie mniej sławnych, mniej wybitnych, ale równie walecznych żołnierzy polskich Bandrowskiego Jana, Bernackiego Ludwika, Chołodeckiego Tomasza, Cieszkowskiego Maurycego, Gasperskiego Stanisława, Godebskiego Ksawerego, Adama Gostyńskiego, Aleksandra Halskiego, Kazimierza Krynickiego, Rafała Miłkowskiego, Niementowskiego Andrzeja, Bożydara Podhorodeńskiego, Stanisława Rodeckiego i tylu, tylu innych, którzy grób swój na łyczakowskim znaleźli cmentarzu.



BRAMA CMENTARZA ŁYCZAKOWSKIEGO.

A już prawie bezimienne są proste żołnierskie krzyżyki na cmentarzyku styczniowym. Leżą cisi, spokojni, rzędami, a coraz ktoś nowy powiększa szeregi

Niechaj im także spokój świeci wiekuisty, obrońcom ojczyzny — a ziemia lekką im jest zapewne, boć ją przecież tak bardzo i serdecznie ukochali!

A wszystkim niech światłość wiekuista świeci na wieki.

Wszystkim, których turnus przekopie po latach dziesięciu i tym, których nazwiska błyszczą z kamiennych grobowców, tym, co w kaplicach i pod pochylonym krzyżykiem i tym, dla których krzyż krożański wspomnieniem i krzyż na pamięć styczniowego powstania.

NARCYZA ŻMICHOWSKA.

BURZA.*)

— Burza dziś będzie — rzekł spokojnie kapitan okrętu, wskazując stojącej obok siebie kobiecie zachmurzony w dali widnokrąg.

Kobieta z równą spokojnością odrzekła:

— Jeszczem nigdy nie widziała morskiej nawałnicy.

— Dzisiejsza zdaje się obiecywać najpiękniejszy widok — mówił dalej kapitan — wicher, grzmoty, pioruny i te długie błyskawice, w których całe obłoki się palą; niczego jej brakować nie będzie, może nawet rozbicia okrętu.

— Doprawdy, kapitanie? czy już zwątpiłeś o swojej „Syrenie“, lekkiej jak skrzydło jaskółki, szybkiej jak lot orła?

— Moja „Syrena“ zwycięsko wyszła z wielu zapasów, lecz to miejsce, w czasie nawet spokojnym, jest jedno z najtrudniejszych do przebycia...

Kobieta smutnie głowę pochyliła.

— Widzę, że odwaga niewieściego serca przed niebezpieczeństwem jako śnieg wiosenny przed południowem słońcem topnieje — dodał jeszcze kapitan.

— Czy żal życia jest słabą lękliwością, kapitanie? Jeśli tak, to ja lękliwą jestem, żal mi tylu uzbieranych wyobrażeń, które żadnego przystosowania w rzeczywistości nie znalazły jeszcze, żal mi tego, co mam w sercu i w głowie, a co z sercem i z głową o podwodne skały się rozbije.

Nastąpiła chwila milczenia. Kobieta znów z pochyloną skronią zatonęła w głębokich marzeniach, kapitan wydał kilka rozkazów, a wiatr coraz silniejszy grał po linach, kłócił się z rozpuszczonymi żaglami.

— Bądź pani spokojna — rzekł kapitan, zwracając się do zamyślonej; — na co moc ludzka starczy, tego użyjemy w obronie.

Kobieta podniosła głowę, a rysy jej twarzy były tak pogodne, jak przed chwilą, kiedy mówiła: jeszczem nigdy nie widziała morskiej nawałnicy.

— Już nią jestem zupełnie — odpowiedziała pewnym głosem — ach! zupełnie, wierz mi, kapitanie. Chwila minęła, już nic z siebie nie żałuję. Zgłębiłam lepiej tę wielką myśl śmierci. I cóż świat ogółu traci na jednem indywidualnem pojęciu, które gaśnie przed czasem? Ludzie pójdą dalej, choć człowiek ubędzie. Człowiek, cudowna machina ręką Boską ulepiona, szlachetny najemnik do wydobywania z wieczności skarbów wiedzy i prawdy, święty kaganiec, który wsiąka w siebie wonną oliwę przyszłości i świeci w niej jasnością natchnienia! Choć machina zepsuciu ulegnie, najemnika ręce zmartwieją, w proch się rozsypie metal kagańca, zostanie zawsze myśl mistrza, zostaną skarby w kopalni, światłość w naturze. Kto je da? mniejsza o to, byle były — a ja mogę umierać! Precz żalu dziecinny i próżna tęsknoto! Może umierać, kto mógł poznać największą śmierci tajemnicę — szczęście.

— Umierać a prędko, z wesołością — rzekł kapitan — i ja nie dbam o życie. My żeglarze szczęśliwsi od lądowych mieszkańców, nam prawie zawsze ostatnia godzina bije piorunem burzy, kulą nieprzyjaciela; niema nawet czasu spojrzeć za siebie, lub przed siebie, żałować, bać się, lub oczekiwać. Tu wszystko prędkie, niespodziane, przypadkowe; ten zostanie, ten padnie — tu śmierć dokoła, a nikt o śmierci nie myśli. Daj mi tylko Boże taki piorun, co odrazu czaszkę zgruchocze, taką kulę, co odrazu serce rozbije, o nic więcej nie stoję; a kiedy zdarza mi się przesłać list do matki, która, święta i dobra kobieta, gdzieś daleko w mojej kochanej Szkocji i za syna żeglarza się modli, to jej zawsze proszę, żeby w pacierzach swoich dodała: „Nagłą i niespodzianą śmiercią obdarz go Panie!“ — Uśmiechnęła się kobieta.

— Kapitanie — rzekła — więcej, niż lat w życiu, więcej masz we wspomnieniu pięknych i śmiałych czynów; podwładni słuchają cię równie przez uwielbienie i miłość, jak przez karność wojskową; tobie samemu się zdaje, żeś odważny, że w twojej duszy prawdziwe męstwo spoczywa. O mój bitny żołnierzu, mój nieustraszony żeglarzu! zabij wzrokiem gniewu słabą kobietę, która temu przeczy zuchwale. Nie, nie, mój kapitanie, jesteś tylko lekkomyślnem, próżnem dziecięciem, które śmiało idzie przez kładkę nad wielką przepaścią, bo mu się zdaje, że w nią nie wpadnie, bo patrzy gdzieindziej, a nigdy na dół nie spojrzy. Widzowie przyklaskują z brzega, lecz ja milczę, ja nie tak rozumiem odwagę i męstwo. Spuść wzrok, pojmij, co czynisz, a potem, wznosząc głowę, powiedz mi, że zawrotu nie czujesz i przejdź śmiało, to klasnę w ręce, powiem, że odważnym jesteś.

Kapitan zmarszczył brwi ciemne na szerokiem czole, uśmiechnął się nawpół szyderczo, nawpół wesoło, zwyczajnie jak wojak na czcze słowa kobiety i szepnął z cicha:

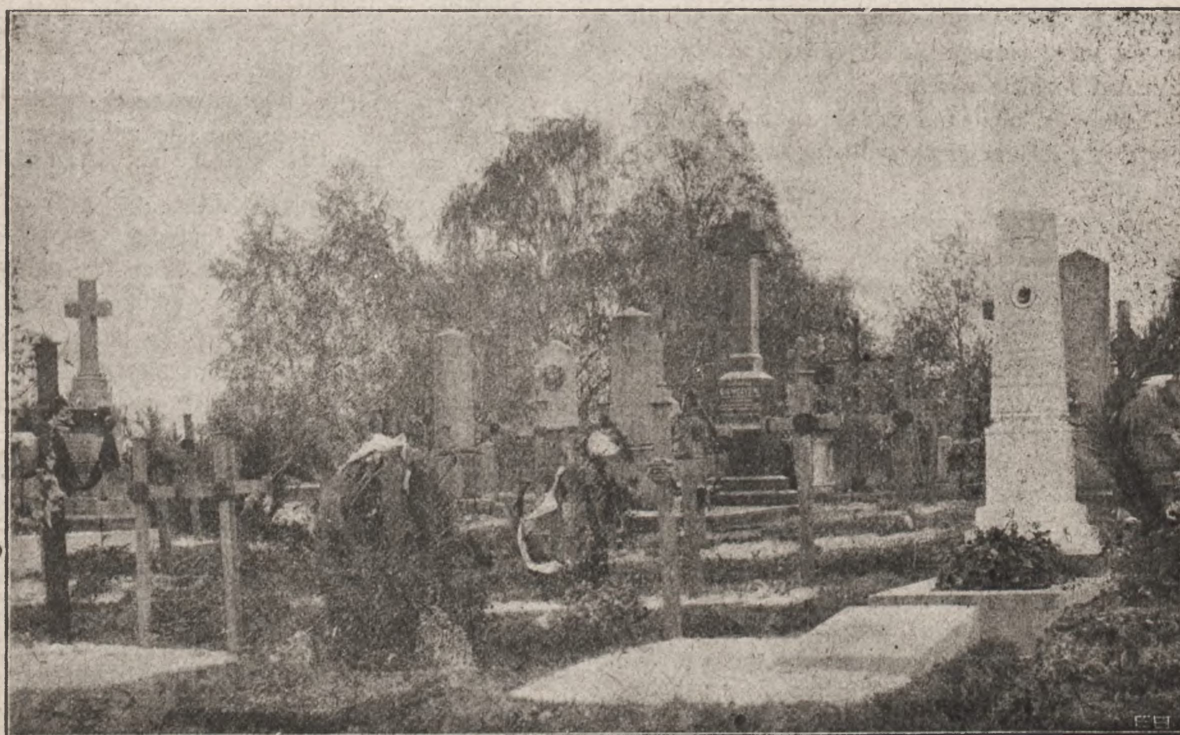
— Zobaczymy.

*) Z Pism Gabryelli.

Tymczasem burza się zbliżyła, niebo ogniem zajęło, jakgdyby miało roztopionym śpiżem do morza wpłynąć; bałwany biły w górę srogie, zapienione, okręt raz ciskał się pod obłoki, drugi raz spadał w przepaść tak głęboką, że kto z będących na nim wierzył w piekło, to mniemał, że się pod nim piekło roztworzyło.

Kapitan skrzyżował ręce na piersiach i rozkazy jego śpieszne, niemylne, zbawienne brzmiały po wszystkich bokach okrętu, głośniejsze od wichru, prędsze od pioruna. Majtkowie wypełniali je w porządku, z milczeniem; tylko od czasu do czasu usta ich cicha poruszała modlitwa. Podróżni patrzyli na oczy dowódzcy, jak chory na relikwję. Kobiety głośno mówiły pacierze, płakały, a jedna silnie o pokładową galerją się wsparła i patrzyła to w niebo, to w morze i chociaż stokrotnie o jej piersi rozbił się szklanym pyłem niejeden wytrysk śródziemnej wody, chociaż wicher stargał jej włosów zawiązkę, ona stała niewzruszona, cicha, a myślała o śmierci.

— Śmierć, owo uroczyste pozdrowienie Boga, któż ją zna tu na ziemi? Ludzie, widząc cierpienia i męki zgonu, nazywają go śmiercią, śmierć boleścią; ludzie się mylą. Gruba powłoka martwoty zaległa bujne życia i ducha przestworza, każde wydobycie się szlachetniejszych pierwiastków ze zmysłowego świata jest walką i wysileniem. Wszakże i wtedy, gdy matka z nicości dziecię światu rodzi, ból łono matki rozdziera, a przecież potem cieszą się wszyscy i mówią, że kobieta człowieka na świat wydała. Tak i ciało nasze, nim ducha w czystym duchów świecie porodzi, mocuje się z własną słabością, cierpi, kona, ale konanie śmiercią nie jest. Śmierć jest najdoskonalszem połączeniem naszego ducha z Bogiem, naszej cząstki wiedzy z doskonałą wszechwiedzą. Ile jest w życiu czyjem niepewności, ile rzewnych, niepodobnych do wytłumaczenia smutków, ile pragnień nieskończoności, tyle jest chwil zgonu, podobieństw śmierci. Daj ziemi naszej czyste szczęście, daj ową apokaliptyczną Jerozolimę, gród wieczystego światła i nieskończonego dobra, a ludzie nie będą umierali, bo śmierć jest tylko przerodzeniem się w życie prawdziwe. Śmierć potrzebna tam, gdzie jest jeszcze złe do naprawy, ziemskość do strząśnienia, zmysłowość do podbicia, ale tam, gdzie płyną niewyczerpniętym zdrojem wody żywe, tam kto żyje, nie umiera! Ach! ja wierzę słowom Boga - Człowieka i wierzę proroctwu Apostoła - Poety! Leć, leć, aniele śmierci! rozkruszaj wszystko, co jest przemiennem i martwem, niech się rozwija na wolnej niwie życie, to pier-



CMENTARZYK ŻOŁNIERZY POWSTANIA STYCZNIOWEGO.

wotne i ostateczne tchnienie Boga, życie, ten wyraz rozwiązujący nieskończone zagadki zdającej się umierać dokoła przyrody. Leć, leć, aniele śmierci, dmuchnij na obłudne i mamiące twory, niechaj runą, a przyszłości zostawią żywotną część swoją, naukę prawdy. Leć, leć, aniele śmierci, połóż twój palec na ustach fałszywego mędrca, co pleśnią grobu okryty i zimny woła, że wszystko w grobie się kończy, że w lekkie wieko trumny można zabić silną myśl człowieka, że poświęcenia i trudy szaleństwem są i marnotrawstwem dni swoich, że krzyż Chrystusów nad wielkim tym cmentarzem bezużytecznie wyciąga ramiona, a krew męczenników w nieurodzajną wsiąknęła ziemię i powstał z niej robak grobowy, ostatni, jedyny szlachetnych dusz potomek. Leć, leć, aniele śmierci, skrzydły swemi rozwiej w powietrzu niecne słowa, niechaj na wiek wieków zostanie o nich tylko ta pamiątka, że kłamano kiedyś. Leć, leć, aniele śmierci, a kiedy śnieżne pióra twoje dotkną czoła mojego, nie cofnę kroku, nie przymknę olśnionej źrenicy, bo ja wiem tajemnicę twoją, ja wiem, że ty szczęściem, wiedzą prawdy, ty życiem jesteś. Ach! szczęśliwy, kto może zdrowem ciałem, spokojnym umysłem patrzeć na zgon swój, umierać i myśleć o śmierci; szczęśliwy, kto może z głęboką rozwagą przyjmować tę chwilę objawienia, to spełnienie najwyższego cudu.

— Rafa! rafa! — krzyknęło nagle kilka głosów.

— Zginęliśmy! — odpowiedzieli echem podróżni, a najśmielsi majtkowie z trwogą ręce opuścili i blade ich twarze zwróciły się ku dowódzcy.

Rozkaz nowy, prędki, lecący ku zgubie okręt zatrzymał, jakby mocą czarnoksięską. Przez chwil parę drżał ogromny statek na wzburzonej otchłani, niby masa granitu, gdy w upadaniu swojem słabą znajdzie zaporę i nad przepaścią się chwieje. Ustały płacze, nawet modlitwa ucichła, wszyscy milczeli i gdyby nie ryk burzy, możnaby było zliczyć przyśpieszone każdej piersi odetchnienia. Lotem błyskawicy padło na dumającą kobietę spojrzenie dowódzcy i ona też rzuciła ku niemu spokojnym wzrokiem braterskiego pożegnania, bo w tej stanowczej chwili posiostrzyły się ich dusze, same jedne spokojne wśród zakłóconych żywiołów i przelękłych ludzi. On z uśmiechem, jakby na ostatnie pogodzenie, rzekł tylko:

— Żadnego zawrotu nie czuję — i wzrok obojga pogrążył się w bezmiernej przestrzeni.

Wiatr zadął z innej strony, wirowemi koły skręcił się okręt ku niemu i w nowym kierunku biedz zaczął szalonym, piekielnym biegiem. Nakoniec głos kapitana odezwał się słowami nadziei: „Minęło niebezpieczeństwo". I te wyrazy odbiły się promieniem radości na wszystkich twarzach, tylko jedno kobiety oblicze, jak z przerażenia nie zbladło przed chwilą, tak i wtedy nie zajaśniało uśmiechem wesela.

Kapitan zbliżył się do niej, z uszanowaniem prawie i z tą szczerą i czystą przyjaźnią, lepszą od uszanowania, która z męskiego serca ku niewieście idąc, jest najwznioślejszą pochwałą, najprawdziwszem jej godności uznaniem.

— My tylko prawdziwie odważni jesteśmy — rzekł do niej — nasze dłonie mogą się uścisnąć wzajemnie, bratersko. Ależ powiedz mi, niepojęta istoto, powiedz mi: kto wlał w ciebie to spokojne męstwo, kto cię nauczył śmierci i burzy pogodnie stawiać czoło? Mnie dzieckiem maleńkiem ojciec woził w małej łódce po spienionem jeziorze, mnie nadmorski wicher zahartował ciało, morskie powietrze członki umocniło, mnie do śmiałości wychowywał dzień każdy; lecz skąd ty idziesz, co odrazu stanęłaś przy kresie męskiej odwagi?

— Idę z dalekich krain, kapitanie! Jestem słabą kobietą, dłoń moja nie mogłaby dźwignąć miecza twojego, a ten ciężar, z którymbyś igrał wesoło, jak dziecię żwiru kruszyną, pochyliłby ku ziemi barki moje. Słabą, słabą jestem kobietą, nie brał mnie ojciec z sobą na fale wzburzonego jeziora, ani mroźna zimy naszej zawieja nie zaprawiła ciała do trudów i niewygód; pod skrzydłem rodzicielskiej opieki wzrosłam cichą, nieśmiałą gołębicą, wychowałam się pieśnią matki i myślą o Bogu. Lecz kiedy pieśń zagrała w duszy objawieniem poezji a myśl o Bogu rozwinęła się we wzniosłe pojęcia, w czystą wiarę, gołębica nie zadrżała przed piorunem, a słaba kobieta stanęła w równi z najodważniejszym mężem. Tak, kapitanie, wszystko wyrównywa się i harmonizuje w świecie naszym: co wam daje siła i przywyknienie, nam daje myśl i wiara.

Z jesiennych zmierzchów.

Graj mi dzieweczko! graj ciemnowłosa,
Piosenkę smętną, rzewną...

Wieczorna pada chłodna rosa,
Bezgwiezdne, chmurne dziś niebiosa —
Graj mi dzieweczko, graj ciemnowłosa...

Powiędły kwiaty, liść chrzęści suchy,
Opustoszały gaje,
Płyną powietrzem pajęcze puchy,
Od czarnych bagnisk jęk idzie głuchy
Na łąki, na rozstaje...

Graj mi dzieweczko! —
Czarna rola
Do snu układa skronie,
Śmiercią powiało już na pola,
Skończona dola i niedola,
Zawodzi wiatr po zgonie...
Tka pajęczyna śmierci chusty,
Mogiłę liście ścielą,
A stare wierzby nad topielą,
Gdzie się piaszczyste smugi bielą,
Obumarłemi usty
„Requiescat“ szepczą z cicha
I bór za niemi cały wzdycha...

Ach!
Graj, graj dzieweczko!
Tak mi strach
Na duszę dziwny pada
Od tego zgonu, od tych pól,
Gdzie łka, zawodzi trud i ból
I troska wstaje blada...

Graj, graj!
Zaczaruj blaski, wonie,
Majowych tchnień pieszczoty,
Niech się roziskrzy, niech zapłonie
Słoneczny urok złoty,
Graj! —

Gdzie mogiły chłodne, świeże,
Niech kwiat zapomnień wzrośnie,
Niech...
Próżno, próżno!
Nie uwierzę,
Nie wierzę w pieśń o wiośnie!

MARJA MARKOWSKA.

URYWKI.

Jeśli sen jest czasowem jeno z trosk wszystkich wybawieniem, a śmierć wybawieniem ostatecznem i wiecznem, jakżeśmy niewdzięczni, że wołamy „święty, słodki śnie“ a nigdy „słodka, święta śmierci“. *Juljusz Zeyer.*

*

Nie było nadziei ratunku i lekarz wyznał wprost choremu, że nie dożyje pierwszych dni jesiennych. Na to chory wyciągnął ręce i zawołał: „Bądź pozdrowiona, siostro Śmierci!“ — Potem zaczął swój zwykły śpiew (Słoneczną pieśń), przywołał braci Anioła i Leona i kazał im wtórować.

Gdy doszli do ostatniej strofy, śpiewak dorzucił wiersze następujące:

Bądź pozdrowiony, Panie, przez siostrę naszą, śmierć cielesną,
Której żaden człowiek ujść nie może.

. . . .

Odtąd śpiewali nieustannie, on lub któryś z braci, ku wielkiemu zgorszeniu brata Eljasza i biskupa, niepojmujących, jak można przygotowywać się na śmierć w sposób tak mało poważny.

Św. Franciszek z Assyżu.
(Życiorys pióra E. Porębowicza).

*

Nie boję się śmierci, boję się tylko tego, co się zowie pociechą. Bo pociecha znaczy: zapomnienie, a zapomnienie dopiero prawdziwem jest rozstaniem. *Juljusz Zeyer.*

*

Smutek jest bytu żywiołem i rdzeniem,
Najistotniejszą duszy ludzkiej treścią,
Li wtedy żyjesz — gdy żyjesz boleścią,
A wszystko inne mgłą jest i złudzeniem!

Or-Ot.

MARJA BARTUS.

Dziennik nauczycielki wiejskiej.

(Ciąg dalszy.)

Tu zastałam gości, przybył z wizytą ksiądz wikary i syn pana J. ze Lwowa. Musiałam zająć się herbatą, a po odejściu księdza, treść rozmowy mojej z gromadą wiernie powtórzyłam panu J., dodając, że klucza nie przyjęłam jeszcze, nie chcąc być

posądzoną o zmowę z gminą, lecz że gmina i tak w każdy sposób jemu klucza nie odda, więc skoro i on ze swej strony ten pokój mi obiecał i gmina mi go daje, czy nie lepiej by było na tej drodze polubownej spór choć tymczasowo ukończyć.

Rzucał się trochę i gniewał, ale syn go uspokoił, przystał więc w końcu i gromada, czekająca na odpowiedź, w pół godziny może potem zniosła moje rzeczy do wspomnianego pokoju, oświadczając mi przytem z wielką serdecznością, że na zimę i kuchenkę obok tego pokoju postawić mi mogą, gdyby mi było niedogodnie mieć wspólną z panem J. kuchnię, która od mego pokoju jest dość oddaloną.

Podziękowałam im za dobre chęci, ale korzystać z nich nie będę i jakkolwiek wiele rzeczy mi się tu podoba, w Sokolnikach nie zostanę.

Chcę być czystą przed Bogiem i przed ludźmi, a zostając tu, koniecznie musiałabym na samym wstępie w swój zawód albo zdradzić zaufanie gminy, albo źle się przysłużyć panu J., który bądź co bądź i choć może więcej we własnym interesie, był jednak na razie bardzo dla mnie grzecznym i dobrym.

Jedyna więc rada na to jest, usunąć się samej i podziękować za posadę

. . . .

Kilka dni minęło i zaszły nowe wypadki, o których warto wspomnieć, gdyż rzuciły nieco pewniejsze światło na stosunki. Powołana listem Józefy Jaroszyńskiej do Lwowa, poznałam tam przypadkiem księdza kapelana S., redaktora pism ludowych, do których za współpracowniczkę mnie prosił. Gdy szerzej zaczęliśmy mówić o korzyściach oświaty ludowej, która narodowej sprawie tak wielkie oddać może usługi, zaczął pytać o moje powodzenie w tym względzie w Sokolnikach i udzielił mi niektórych uwag i wiadomości. I tak, wikary tutejszy, który tak bardzo zachowaniem się swojem mnie dziwił, jest mu znany, był chory na umyśle i dotąd jeszcze pewne ślady tego pozostały. Proboszcz dziwak, ale człowiek w gruncie rzeczy niezły, z którym radzi mi poznać się bliżej i zawezwać go do wspólnego na obranem polu działania, następnie podał mi myśl zgromadzania u siebie co niedzieli w szkole ludu i odczytywania im książek, w które wydawnictwo ludowe mnie zaopatrzyło i nadal przysyłać przyrzekło. Całą duszą pochwalam tę myśl, ale jak ją wykonać — tu, na tak zawisłem stanowisku i wśród tak wrogich okoliczności?

Wyraziłam to, doradzał mi wytrwałość i odwagę, przyrzekał zasilać swemi pismami i obiecał bytność w Sokolnikach.

Co do jego osoby i pozostałego wrażenia, jest dość miłym, twarz myśląca i jakby zmęczona jakiemiś przejściami, które tak ją dziwnie pomięły, że choć zdaje się młodym jeszcze, właściwy wiek odgadnąć trudno. Oczy głębokie, spokojne, zasady zdaje się piękne i patrjotyczne, choć pod pewnymi względami niezupełnie z niemi się zgadzam, tylko, jak na księdza, zbyt ugrzeczniony, zbyt nieoględnie i obficie palił kadzidła memu poetyckiemu talentowi.

Byłam następnie u inspektora K., nie zastałam go, gdyż wyjechał, ale w jego zastępstwie pozostałemu sekretarzowi rady panu Z. powierzyłam troskę moją co do kwestji pomieszkania, prosząc, by mi powiedział, po czyjej stronie jest s ł u s z n o ś ć, abym za nią pójść mogła, choćby przyszło posadę opuścić.

Z zajęciem pytał mnie o wszystko, wyjaśniłam mu całą prawdę, dodając, że przecież przejścia przez mój pokój, jak pan J. sobie życzy, dla samej przyzwoitości dozwolić nie mogę. Wysłuchawszy wszystkiego, pan Z. uspokoił mnie, zaręczając, że jeżeli sama gmina, pomimo że nauczyciel młodszy nie ma prawa do pomieszkania, mnie go dobrowolnie ofiarowała, nikt, a nawet sama rada szkolna sprzeciwić się temu nie może. Więc dopokąd gmina zechce, jestem w jego prawnem posiadaniu.

Uspokojona i niejako wzmocniona na duchu, podziękowałam mu, a pożegnawszy zacnych J., z głową pełną różnych planów wróciłam do Sokolnik.

Nazajutrz po wieczornem nabożeństwie majowem udałam się z pierwszą wizytą do księdza i jego siostry. Był na razie jakby zastraszony i pomieszany, lecz przyjął mnie bardzo uprzejmie i długo ze mną rozmawiał, byłam dość otwartą co do moich zamiarów, ale zarazem ostrożną co do drażliwej kwestji stosunków jego z panem J., chociaż jak podziemna lawa, ukryta nienawiść wybuchała z ust jego ustawicznie w rozmaitych oskarżeniach. Uważam, że wogóle nauczyciel ten, choć bawi tu już tak długo, wcale sobie nie zjednał niczyjej przychylności — powód tego? — Zdaje się w tem głównie spoczywa, że on pracuje d l a s i e b i e i r o d z i n y s w e j w y ł ą c z n i e, a ze sprawą ogółu ani pracą, ani sercem się nie łączy... Lud zaś ma rozum prosty i instynkt nieomylny.

Co do księdza, temu idzie o p r z e w a g ę w ł a d z y d u c h o w n e j n a d ś w i e c k ą, gdyż głównie nie może przebaczyć nauczycielowi wyrażenia się, że dziś księża nic już nie znaczą, nauczyciel stoi na pierwszem miejscu!... Powiedział mi to z nieta-

jonem oburzeniem, zapytując: i cóż pani o tem sądzi?

— Sądzę — odpowiedziałam, tą razą dość śmiało, jak na moją lękliwą naturę, — że nie sprzeczać się o pierwszeństwo, lecz powinni iść ręka w rękę ku wspólnemu celowi.

Nie wiem, co o tem pomyślał, lecz uprzejmości swej dla mnie nie zmienił i dowiódł tego nawet, odwiedzając mnie zaraz nazajutrz w dzień Wniebowstąpienia z siostrą.

Siostra jego niemłoda już osoba, wdowa, milcząca, jakaś smutna, sztywna i jakby przygnębiona, przy tym ciągle prawie śmiejącym się, częściej jeszcze gniewającym się, a okrągłym i rumianym bracie, także nie jedną myśl nasuwa — niewesołą.

Wypadek, nie wiem dotąd, szczęśliwy czy nieszczęśliwy, zdarzył, że pan J. wraz z przybyłym właśnie ze Lwowa synem i jakimś wujem, zaprosili się do mnie w ten sam dzień na kawę i jakby na dany znak w jednej godzinie i minucie zeszli się wszyscy u mnie z księdzem i jego siostrą. Ucieszyło mnie to na razie, bo sądziłam, że ci dwaj zacięci nieprzyjaciele, zszedłszy się w miejscu neutralnem i przez samą grzeczność dla mnie, może zechcą zachować się spokojnie, a tem samem zrobią pierwszy krok na drodze pojednania.

Ale niestety! — daremnie odwracałam rozmowę na rzeczy ogólne, miny obudwu, już od razu nic dobrego nie wróżyły, a gdy jeszcze ksiądz pierwszy zaczął mi zalecać, abym w szkole uczyła rzeczy pamięciowych, gdyż ich dotąd tu n i e u c z o n o, p. Rudolf, syn pana J., w obronie ojca wystąpił z żarliwą opozycją, na co znowu ksiądz się uniósł, nakazując mu milczeć, jako młodzikowi, kiedy starsi mówią. Nauczyciel ujął się za synem i zaczynała się już zrywać groźna burza, którą zaledwie prośbami, aby mi nie robili tej przykrości, po raz pierwszy zszedłszy się u mnie, zdołałam nieco uspokoić.

Zapanował więc chwilowy rozejm, ale widziałam, że w głębi wre... i moja rola pojednawcza zapewne nigdy się dobrym skutkiem nie odwdzięczy za swoją trudność i niezliczone przykrości. Niedługo też pan J. z gośćmi swoimi odszedł, ksiądz zaś z siostrą, pomimo, że ciągle niby zbierali się do odejścia, pozostali jeszcze długo, rozmawiając o różnych rzeczach.

W ciągu tej rozmowy podałam księdzu kilka książeczek wydawnictwa ludowego, zapytując, czy je zna — a gdy zaprzeczył, zapytałam go z pewnem drżeniem, czy nicby nie miał przeciw temu, gdybym, jak to zwyczajem jest w szkołach wiejskich, zgromadzała u siebie w szkole co niedzieli popołudniu gospodarzy wiejskich i kobiety i czytywała im choćby godzinę pożyteczne książki. Zamyślił się nad tem.. Czemuż nie? odpowiedział wreszcie — lepiejby to było, jak uczęszczać do szynku, ale może z tem zatrzymać się do wakacji, bo jeżeli pani po wakacjach inną otrzyma posadę, to i pocóż przyzwyczajać ich do rzeczy, których pani następca z pewnością kontynuować nie będzie. Dlaczegoż? — rzekłam z przekonaniem — gdyby go do tego zachęcić? — Ale co pani mówi! zaprzeczył ksiądz żywo, czyż ja nie znam wiejskich nauczycieli, czyż pani sądzi, że każdy z nich posiada pani uczucie i sposób myślenia?

(Dok. nast.)

ZAPISKI.

Nagrobki cmentarne. Cmentarz lwowski, a szczególnie cmentarz łyczakowski wciąż jeszcze czeka na monografa, któryby go opisał pod względem historycznym i artystycznym, podobnie jak K. W. Wojcicki cmentarz powązkowski w Warszawie. Dotychczasowe bowiem dwie prace o cmentarzu łyczakowskim, a mianowicie Ciesielskiego „Pomnikowe rysy“ i ś. p. Juljana Markowskiego „Cmentarz Łyczakowski“ mogą służyć, co najwyżej jako materjał. Być może jeszcze, że właśnie trudność zebrania odnośnego materjału odstrasza historyków od tego bardzo wdzięcznego zadania, tem bardziej, że księgi cmentarne przechowały się dopiero od r. 1872.

Ważną natomiast czynność podjął ostatnimi czasy urzędnik magistratu lwowskiego p. Włoszyński. Jeden z najlepszych fotografów-amatorów, członek redakcji „Wiadomości fotograficznych“ poczynił cały szereg znakomitych wprost zdjęć fotograficznych z pomników na cmentarzu łyczakowskim. W pracy tej amatorskiej uwzględniał p. Włoszyński te tylko pomniki, które czy to wiekiem, czy historycznem wspomnieniem, czy wreszcie artystycznem wykonaniem na szczególniejszą zasługują uwagę. Oprócz samych zdjęć jednak zbadał też p. Włoszyński nazwiska rzeźbiarzy wykonawców, tak, że kolekcja jego ma też pewne znaczenie dla historji sztuki rzeźbiarskiej we Lwowie. Wiadomo, że na cmentarzu Łyczakowskim znajduje się wiele cennych dzieł dłuta Parysa Filipiego, Kurzawy, Cyprjana Godebskiego, Tadeusza Barącza, Dykasa, nie licząc już wcześniejszych jak Witwera, Abel Marie Periera i innych. Zestawienie przeto ich prac, tak, jak go dokonał p. Włoszyński ma znaczenie historyczno-artystyczne, nie licząc tego, że dobre zdjęcie fotograficzne jest niestety u nas sposobem konserwowania takich rzeczy, które narażone na wpływy atmosferyczne i niszczącą rękę ludzką, inaczej by bez śladu przepadły. Kolekcję swoją zamierza odstąpić p. Włoszyński Archiwum miejskiemu.

Drukiem W. A. Szyjkowskiego we Lwowie, ul. Kopernika l. 5.